

WPROWADZENIE

To był zły rok. Rok 2003 był bardzo złym rokiem dla Polski, Europy i świata. Takim pozostanie na kartach historii najnowszej, niezależnie od doraźnych kosmetyczno-propagandowych zabiegów specjalistów od politycznego *make-up'u*, który nieodłącznie towarzyszy polityce od jej narodzin.

O ile rok 2002 był przez wielu określany rokiem Europy (zakończenie rokowań akcesyjnych przez dziesięć państw), o tyle rok 2003 można nazwać rokiem anty-Europy. I to mimo podpisania i ratyfikacji traktatów stwarzających podstawę do rozszerzeniowego *big bang*. Rok 2003 stał się rokiem podziału i upokorzenia Unii Europejskiej. Bardzo prawdopodobne, iż zostało zasiane ziarno jej przyszłej dezintegracji, ziarno procesów, które w dłuższym okresie doprowadzą do jej rozsadzenia. Zmusi to wtedy (zwłaszcza gdyby doszło do przyjęcia Turcji do UE) zapewne część państw członkowskich Unii do zapoczątkowania nowej formuły instytucjonalnej jedności Europy, która służyć będzie obronie jej interesów na scenie międzynarodowej.

Anty-Europa, anty-Europa! Takie hasło wypisała na swoich sztandarach polska klasa polityczna już po zwycięskim referendum w maju 2003 w sprawie przystąpienia do UE. W miarę zbliżania się do finału prac Konferencji Międzypaństwowej (IGC), która miała przyjąć Traktat Konstytucyjny UE, w polskiej klasie politycznej brały górę i ostatecznie zwyciężyły postawy antyeuropejskie. Antyeuropejskie nastroje polskiej klasy politycznej, bez podziału na lewo–prawo lub rząd–opozycja, miały swoje korzenie zarówno w jej kulturze politycznej, jak i w bezwarunkowym, bezrefleksyjnym i jednoznacznym opowiedzeniu się po stronie USA w sporze na tle wojny przeciwko Irakowi. Im bardziej byliśmy krytykowani przez „starą Europę” za nasz udział w tej wojnie, tym bardziej nasi politycy uważali za konieczne sprzeciwić się budowie zjednoczonej i silnej Europy. Negatywny stosunek do systemu podejmowania decyzji przez Radę UE zaproponowanego przez projekt Konwentu Europejskiego (najbardziej demokratycznego i reprezentatywnego forum w historii WE/UE) był niestety czymś więcej niż tylko sprzeciwem wobec tego systemu. Był manifestacją negatywnej koncepcji Europy jako podmiotu życia międzynarodowego. W tym sprzeciwie jak w soczewce skupiła się niechęć do Europy sprawnej, solidarnej, spójnej, poważnej międzynarodowo; niechęć albo niezrozumienie, iż Traktat Konstytucyjny byłby wielkim krokiem w tym kierunku. Będące rezultatem naszego bezkompromisowego obstawania przy nicejskim sposobie głosowania w Radzie UE („nasz kompromis nazywa się Nicea”) fiasko grudniowego szczytu Unii postawiło nas także w silnej

opozycji wobec dwóch naturalnych partnerów i sojuszników Polski w Europie, to jest wobec Francji i Niemiec. W ten sposób odrzucona została dogodna dźwignia naszego potencjalnego wpływu na bieg spraw europejskich. Trójkąt Weimarski został rozmyślnie zastąpiony mitem „dyktatu francusko-niemieckiego” oraz „osi egoizmu”, z którymi należało walczyć. Polska klasa polityczna poczuła się powołana, aby bronić Europy przed tym „dyktatem”, jak niegdyś bronił jej Sobieski przed Turkami¹. Co do „osi egoizmu”, to nie chciano zrozumieć, że UE nie dlatego jest mniej szczodra wobec krajów przystępujących w 2004 roku, że mniej je lubi, tylko dlatego, że łatwiej było być hojnym wobec jednej wcale nie tak ubogiej Irlandii czy Portugalii niż w stosunku do całej dziesiątki najbiedniejszych państw, jakie kiedykolwiek przystępowały do Wspólnoty². Powtórzmy raz jeszcze: prawdziwy problem nie leżał w stosunku do nowego systemu liczenia głosów przy podejmowaniu decyzji przez Radę Unii, choć typowy dla polskiej kultury politycznej brak wycucia relacji pomiędzy interesem i dobrem Rzeczypospolitej (tym razem europejskiej) a zaściankowo formułowanym interesem partykularnym zaskoczył naszych europejskich partnerów. Prawdziwym problemem był brak pozytywnej koncepcji Europy (owa „anty-Europa”). Naszą odpowiedzią na wytworzoną przez nas fałszywą wizję Europy (rzekomo dążącej do uczynienia z nas członka drugiej kategorii, oszukania czy wykorzystania) były gombrowiczowskie pozy i grymasy oraz już bardziej współczesne gesty (np. „gest Kozakiewicza”). Grymasy i gesty są jak wiadomo łatwiejsze do wykonania niż próba zrozumienia, iż kierunek rozwoju integracji europejskiej zaproponowany w projekcie Konwentu służy najbardziej żywotnym geopolitycznym i ekonomicznym interesom Polski, służy rozwojowi i modernizacji polskiego społeczeństwa³.



„Los każdego kraju musi być określany przez jego obywateli. Zaprowadzanie demokracji i poszanowanie praw człowieka za pomocą karabinów

¹ Kulminacją całego szeregu antyfrancuskich gestów było oskarżenie Francji o sprzedaż Irakowi Saddama obłożonych embargiem pocisków przeciwlotniczych typu *Roland II*. Fałszywe oskarżenie zostało odebrane w Paryżu jako niesmaczna chęć przypodobania się Warszawie Waszyngtonowi i, jak łatwo się domyślić, nie przyczyniło do zwiększenia nad Sekwaną sympatii i zaufania do Polski.

² Przypomnijmy tylko, iż nigdy w historii do WE/UE nie przystępował kraj tak duży i biedny zarazem jak Polska (średni dochód na głowę w Polsce wynosi 40% **średniej** w UE).

³ Zob. zwłaszcza I. Davidson, *Lekcja do odrobienia*, „Rzeczpospolita” (dalej: „Rz”) z 20–21 grudnia 2003 r.; J. Łukaszewski, *Polska przegrała w Brukseli*, „Rz” z 30 grudnia 2003 r. (autor, były wieloletni rektor Collège d’Europe w Brugii oraz ambasador RP we Francji, wzywa polską klasę polityczną do pozbycia się bolszewickich i darwinistycznych koncepcji życia międzynarodowego); B. Geremek, *Groziliśmy bronią atomową* (wywiad), „GW” z 20–21 grudnia 2003 r. (B. Geremek, podobnie jak T. Mazowiecki, uważa, iż rezultatem naszej postawy wobec UE jest polityczne osamotnienie Polski, i krytykuje polski sprzeciw wobec umocnienia unijnej WPZiB); M. Dąbrowski, *Europejski falstart*, „Rz” z 22 grudnia 2003 r.; R. Kuźniar, *Jeszcze możemy zachować twarz*, „Tygodnik Powszechny” z 11 stycznia 2004 r.; T. Olechowski, *Polska w pułapce*, „GW” z 13 stycznia 2004 r.; Z. Najder, *Wspólnota zamiast blokady*, „Rz” z 11 lutego 2004 r.; T. Mazowiecki, *Bronić – ale nie do śmierci*, „GW” z 24 lutego 2004 r.

przypomina mi postępowanie Związku Radzieckiego. Gdy w strefie wpływów tego państwa działo się coś, co nie było po jego myśli, wysyłano tam czołgi pod hasłami pokoju i demokracji. Takie działanie jest nie tylko nieetyczne, ale i nieskuteczne. Nie można nikogo uszczęśliwić na siłę. Nie można mu dać demokracji w prezencie, tak jak nie można nikomu podarować dorosłości ani odpowiedzialności” (Shirin Ebadi, irańska laureatka pokojowej Nagrody Nobla z 2003 r., w: „Rzeczpospolita” z 13–14 marca 2003 r.).

Stosunek polskiej klasy politycznej do Europy, do jej projektu zjednoczeniowego (UE) był w znaczącej mierze pochodną orientacji proamerykańskiej, która bez reszty zdominowała politykę polską w ostatnim okresie. Wybór Ameryki jako strategicznego protektora i przywódcy był tak głęboki, iż w wyobraźni polskich polityków nie było już miejsca na strategiczne potraktowanie innych kierunków. Wybór Ameryki w polskim wydaniu był tym, co w języku anglosaskiej myśli politycznej czy strategicznej nazywa się „**band-wagoning**”. Chodzi tutaj o postawienie w grze politycznej na tego, kogo uważa się za przyszłego zwycięzcę w walce o hegemonię. Ci, którzy go poprą, mogą później liczyć na jakieś profity, na wdzięczność hegemonu. W języku marksizmu taką postawę określano eufemistycznie „uznaniem historycznej konieczności”. To dlatego w sporze Ameryki Busha z Europą opowiedzieliśmy się po stronie administracji Busha, a zachęceni przez amerykańskich polityków, dyplomatów i publicystów wzięliśmy aktywny udział w podzieleniu Europy po to, aby zjednoczona nie mogła skutecznie przeciwstawić się polityce USA. Nasi sojusznicy zza Atlantyku chwaili następnie naszą „dzielność w stawianiu się Europie”.

„Nie chciałbym być złym prorokiem, ale polski rząd będzie przeklinał dzień, w którym podjął decyzję o bezkrytycznym zaangażowaniu się w wojnę iracką”, mówił znany amerykański analityk, prof. Charles Kupchan⁴. Zapewne nie będzie to ten rząd, który podjął decyzję o tym zaangażowaniu. Politycy z reguły nie przyznają się do popełnionych błędów. Pewnych faktów nie da się jednak podważyć. Wojna przeciwko Irakowi była poważnym naruszeniem podstawowych zasad prawa międzynarodowego (Karty NZ)⁵. Nieprawdziwe było także od początku jej uzasadnienie sformułowane przez Waszyngton i Londyn. Nie było w Iraku broni masowego rażenia (potwierdzili to w styczniu br. inspektorzy USA), reżim Saddama nie współpracował też z tak zwanym międzynarodowym terroryzmem. Co się tyczy perspektyw demokracji w Iraku, to sami Amerykanie przyznają dzisiaj, iż jest to w najlepszym razie śpiew odległej przyszłości⁶. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Po wojennych zniszczeniach i destabilizacji, rozpętaniu się fali terroru wewnętrznego (i przenoszonego na terytorium krajów uczestniczących w antyirackiej koalicji – zamach w Madrycie 11 marca br.), przestępczości na dużą skalę i waśni religijnych, wyzwaniem najbliższych lat pozostaje stabilność

⁴ Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Wywiad z Ch. A. Kupchanem (przeprowadził J. Makowski), „Tygodnik Powszechny” z 8 lutego 2004 r.

⁵ Zob. m.in. W. Czaplński, *Interwencja w Iraku z punktu widzenia prawa międzynarodowego*, „Państwo i Prawo”, styczeń 2004.

⁶ Z. Brzeziński, *How not to spread democracy*, „International Herald Tribune” z 9 marca 2004 r.

i integralność Iraku⁷. Będzie to wymagać utrzymywania tam dużego kontyngentu wojsk USA i ich pomocników, być może włączenia NATO ze szkodą dla tego sojuszu, oraz wielkiej, niesłychanej kosztownej pomocy międzynarodowej. Należy mieć jedynie nadzieję, że dramat 11 marca w Madrycie, który wymaga stanowczej odpowiedzi w stosunku do terrorystów i samego zjawiska terroryzmu, nie zostanie wykorzystany przez tych, którzy myślą wojnę z terroryzmem z wojną z Irakiem i którzy będą chcieli utrudniać strategiczną samodzielność Europy na rzecz automatycznego przyłączenia się do amerykańskiej polityki bezpieczeństwa⁸.

Ponadto nie wydaje się, aby polski „band-wagoning” przyniósł nam oczekiwane korzyści. O jego negatywnych rezultatach dla kierunku europejskiego wiele pisano i trzeba mieć bardzo dużo złej wyobraźni i ograniczone zdolności percepcyjne, aby twierdzić, jak czynią to przedstawiciele orientacji proamerykańskiej (politycy, komentatorzy), że udział w wojnie przeciwko Irakowi i negatywne stanowisko w sprawie projektu Traktatu Konstytucyjnego zwiększyły naszą rolę międzynarodową. Owszem, o Polsce dużo się mówiło. Jednak międzynarodową rolę kraju mierzy się zdolnością wpływu na innych, kształtowania ich zachowań zgodnie z naszymi interesami i oczekiwaniami, zdolnością do tworzenia nowej jakości w życiu międzynarodowym. Sam rozgłos czy zdolność do blokowania nie jest wpływem i nie oznacza wzmocnienia roli w środowisku międzynarodowym.

Najbardziej bolesnym rezultatem bezwarunkowego poparcia dla polityki tej administracji jest głęboko **asymetryczny bilans stosunków Polska–USA**, które stały się ulicą o ruchu jednokierunkowym – korzyści czerpie tylko jedna strona. Korzyści USA to polityczne poparcie Polski dla sprzecznej z prawem międzynarodowym operacji militarnej (wzmocnienie pozoru, iż jest to akcja międzynarodowa), to wysłanie naszego kontyngentu wojskowego wspierającego operację USA, to zakupy amerykańskiego sprzętu lotniczego (gigantyczny kontrakt na zakup F-16), to przychyłność wobec ewentualnego umieszczenia w naszym kraju bazy wojskowej USA, która jest całkowicie zbyteczna z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa; notabene wynikające z niej korzyści ekonomiczne, jak podkreślają sami Amerykanie, będą marginalne. Przy czym przedstawiciele tej administracji nie kryją też swego stosunku do naszej roli w Iraku. „Jadę zobaczyć, jak są wydawane amerykańskie pieniądze”, powiedział cytowany przez polskie media podsekretarz stanu USA przed wizytą w lutym br. w polskiej strefie w Iraku. Żaden polski polityk ani komentator nie zareagował na potraktowanie jak najemników naszych żołnierzy, którzy narażają swoje życie w obronie interesów amerykańskich koncernów naftowych i zbrojeniowych. A przecież są tam nie tylko

⁷ H. Mneimneh, *Czy Irak jest kolejnym Afganistanem*, „Rz” z 13 lutego 2004 r.

⁸ Natychmiast po ogłoszeniu przez przywódcę zwycięskiej partii socjalistycznej zamiaru wycofania wojsk z Iraku podjęta została próba zaszantażowania Hiszpanii przy użyciu argumentu, iż byłoby to zwycięstwo terrorystów (pokazanie im, iż zamachy przynoszą pożądane rezultaty). Była to argumentacja politycznie i intelektualnie nieuczciwa, wojna USA z Irakiem nie miała bowiem nic wspólnego z wojną z terroryzmem, a nawet przyczyniła się do wzmocnienia tego drugiego (Amerykanie stworzyli terrorystom dogodne pole bitwy oraz dostarczyli im nowej legitymizacji dla ich morderczych ataków).

nasi żołnierze. Są tam także wydawane pieniądze polskiego podatnika, które mogłyby stanowić potężną część w budżecie naszej polityki zagranicznej i być dobrze wydane na kształtowanie sytuacji w naszym bezpośrednim otoczeniu (np. Ukraina czy Białoruś). Wpływu na politykę administracji Busha wobec Iraku nie mamy żadnego. Jak dowiodła styczniowa wizyta prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w Waszyngtonie, nie mamy też żadnego wpływu na politykę USA wobec Polski. Kompromitująca postawa amerykańskich urzędników nadzorujących przetargi na robienie interesów w Iraku (sprawa Bumaru i inne) była spektakularną manifestacją lekceważenia polskiego sojusznika. Tym, którzy twierdzą, że nasza postawa jest wyrazem wdzięczności za przyjęcie Polski do NATO, należy przypomnieć, że do NATO weszło dziesięć państw postkomunistycznych i nie ma powodu, aby tylko Polska płaciła cenę za skądinąd zgodne z interesem USA i Zachodu rozszerzenie Sojuszu Atlantyckiego⁹.

Nasz stosunek do wojny z Irakiem i projektu silnej Europy jest wyrazem **zaburzenia instynktu geopolitycznego** polskiej klasy politycznej; nie pierwszy raz w historii kraju. Po zaangażowaniu się w niemającą żadnego związku z naszym bezpieczeństwem wojnę w Iraku polska klasa polityczna pozwoliła sobie na drugą „wojnę”, tym razem przeciwko Europie. Polski nie stać na prowadzenie dwóch wojen jednocześnie. Jak widać, nawet Amerykanie mają trudności z dwiema wojnami naraz. Polsce nie są zwłaszcza potrzebne wojny zaspokajające próżność i chciejstwo polityków¹⁰. Polscy politycy powinni się raczej skoncentrować na budowaniu lepszej przyszłości kraju nadal biednego i słabo rozwiniętego, co jest zadaniem trudniejszym i mniej wdzięcznym niż machanie szabelką. Nowoczesność, otwartość, sprawność państwa i społeczeństwa możemy osiągnąć raczej poprzez udział w silnej i solidarnej Unii Europejskiej niż poprzez egzotyczne ekspedycje do Iraku lub „partnerstwa strategiczne” z Hiszpanią José Marii Aznara¹¹, których celem jest blokowanie rozwoju integracji europejskiej. Owo zaburzenie instynktu geopolitycznego w tym przypadku polega na tym, iż zmniejsza się w ten sposób skuteczność naszej polityki (lub polityki UE) wobec Rosji, Ukrainy i Białorusi, to jest strefy mającej dla nas strategiczne znaczenie. Niedostatek uwagi, staranności i środków w podejściu do państw europejskiego wschodu przynosi takie rezultaty jak zamknięcie przez Rosję dopływu gazu do Polski (aby wyrzucić nacisk na Białoruś) w lutym 2004 r. czy nasilanie się niekorzystnych zjawisk na Ukrainie. Poprawny instynkt

⁹ Postawy serwilistyczne wobec USA przekroczyły już w Polsce granicę dopuszczalną dla polityki w ramach suwerennego państwa. Ujawniło się to ostatnio ze szczególną mocą po wypowiedzi prezydenta A. Kwaśniewskiego (18 marca br.), w której przyznał, iż miał poczucie, że był „zwodzony” informacjami o rzekomych arsenałach irackiej broni masowego rażenia. Reakcja znaczącej części polityków i komentatorów wskazywała, iż w stosunkach polsko-amerykańskich ważniejsza jest dla nich obrona interesów USA niż odwrotnie.

¹⁰ J. Nowak-Jeziorański, *Polityka na wyrost*, „Rz” z 6–7 września 2003 r.

¹¹ W Hiszpanii 90% społeczeństwa było przeciwne udziałowi w wojnie z Irakiem. Gdy rządząca Partia Ludowa próbowała w przededniu wyborów parlamentarnych ukryć prawdę o sprawcach tragicznego zamachu z 11 marca (zamiast na Al-Ka’idę podejrzewano kierowano na ETA), skończyło się to jej nieoczekiwaną porażką.

geopolityczny jest niezbędny dla właściwego określenia strategii międzynarodowej państwa, która ma służyć realizacji interesów składających się na jego rację stanu.

Brak wycucia geopolitycznego wyraził się także w tym, iż stając po stronie USA i przeciwko konsolidacji UE poprzez Traktat Konstytucyjny, opowiedzieliśmy się za powrotem do polityki w starym stylu. Polityki zdominowanej przez mocarstwowe atawizmy, myślenie i działanie w kategoriach prymitywnej *Realpolitik*, narodowe egoizmy, demonstracje siły państw i ich jednostronne działania, spadek zaufania pomiędzy państwami oraz w stosunku do instytucji wielostronnych. Proces integracji i jedności europejskiej miał być receptą na choroby polityki w starym stylu, na chorobę starej geopolityki. Polska, z jej położeniem geopolitycznym, jest ostatnim krajem, który powinien przykładać rękę do odrodzenia zwyczajów politycznych, których była w przeszłości ofiarą. **Groźba geopolitycznego osamotnienia Polski** jest właśnie rezultatem egzotycznych sojuszy i zaangażowań w połączeniu z destrukcyjną postawą wobec procesu umacniania konstrukcji UE i pogorszenia stosunków zarówno z państwami regionu, jak i tymi, które są głównymi promotorami dotychczasowego kierunku rozwoju integracji europejskiej.



Oczywiście, sam instynkt geopolityczny nie wystarcza. Potrzebna jest jeszcze jakaś elementarna kultura strategiczna, która jest pochodną kultury politycznej. Natomiast obecna sytuacja polskiej klasy i kultury politycznej jest powszechnie określana przez socjologów i politologów mianem głębokiego kryzysu. To dlatego wyborem tej klasy jest symbolicznie pojmowana Ameryka. Ameryka nie jest dla naszej klasy politycznej wymagająca. Polska z perspektywy dzisiejszego Waszyngtonu może być Turcją, Filipinami czy Nikaraguą. Polska jest jednym z punktów oparcia globalnej geostrategii USA. Państwem, które wysyła wojsko, kupuje broń czy opowiada się w „sporze z Europą” po stronie Ameryki. Sytuacja wewnętrzna Polski Waszyngtonu nie interesuje. Zupełnie inaczej niż Europa, która „czegoś” od Polski się domaga: lepszego prawa, likwidacji korupcji, lepszej ochrony środowiska itd. Przy czym, jak trafnie zauważył prof. Bronisław Geremek, w polskim stosunku do Europy **„nie ma problemu społeczeństwa, jest problem elit politycznych i władz państwowych”**. Świadomość miejsca Polski w Europie i związanej z tym cywilizacyjnej szansy jest znacznie wyższa w społeczeństwie niż wśród polityków. Politycy, szermując hasłem suwerenności i wzmocnieni strategicznym partnerstwem z administracją Busha, chcieliby chronić polski zaścianek przed wtrącaniem się Europy. Jest to rozumienie suwerenności w wydaniu „wolność Tomku w swoim domku”. Kultura polityczna, w tym zwłaszcza pojmowanie państwa, demokracji, związków między sferą publiczną a prywatną oraz gospodarki z polityką, zdecydowanie upodabnia znaczącą część klasy politycznej do wzorców latynoamerykańskich.

I nic dziwnego. Wszak rok 2003 przejdzie do historii najnowszej naszego kraju jako **rok afer i ustawodawczych bublei**. Pierwsze (np. „Rywin”, „Starachowice”,

„Łapiński”), wykrywane przez media, drugie (np. legislacyjny bubel stulecia wicepremiera Kołodki), odrzucane przez Trybunał Konstytucyjny. Kolejny polski rząd, aby utrzymać się przy władzy (oraz utrzymać armię zużytych moralnie i politycznie posłów na lukratywnych dietach), staje się zakładnikiem niewielkiej grupki będącej najprawdziwszym ścieżką parlamentu tej kadencji. Taka podstawa polityczna nie daje możliwości pozytywnego rządzenia; zapewnia jedynie możliwość trwania. Trwania w sytuacji, gdy kraj po wielu latach zwłoki będącej rezultatem politycznego oportunistycznego wymaga głębokich i odważnych reform. Polska stała się krajem złych rządów, politycznej nieodpowiedzialności, złego prawa, katastrofalnie anachronicznej struktury finansów publicznych, dramatycznie już niskich nakładów na rozwój i infrastrukturę, odwracających się inwestycji zagranicznych (ślądem Toyoty i Citroëna poszedł w lutym br. Hyundai, który wybrał Słowację)¹². Połączenie **gminnego liberalizmu** (wszystko wolno) z będącą **dziedzictwem komunizmu erozją moralną** (zanik wstydu i przyzwoitości oraz specyficzny stosunek do prawa i prawdy w sferze publicznej) musiało przynieść takie rezultaty. Nie przeszkadza to naszym politykom pouczać Europy, domagać się odwołania do chrześcijaństwa w projekcie Traktatu Konstytucyjnego UE czy świecić wzorem demokracji w Iraku. Znamiennym świadectwem braku poważnego stosunku polskiej klasy politycznej do fundamentalnych zagadnień polityki państwa, czyli do sprawy wojny i pokoju, był zupełny brak debaty o powodach naszego zaangażowania w wojnę w Iraku. W Polsce zwyczajnie „nie zauważono” publicznego przyznania przez oficjalny Waszyngton i Londyn, iż w Iraku nie znaleziono broni masowego rażenia ani śladów współpracy Saddama z Al-Ka’idą. Ich brak oznaczał wszakże utratę legitymizacji dla tej wojny i zarówno w USA, jak i Wielkiej Brytanii odbywały się w tej sprawie burzliwe debaty. Powołane zostały tam także liczne komisje śledcze mające wyjaśnić przyczyny wprowadzenia w błąd opinii publicznej w tej sprawie. U nas – cisza.

„Polityka zagraniczna, pisał znany publicysta, jest pochodną wewnętrznej. Biedne i zacofane państwa, nieradzące sobie z własnymi problemami, nie mogą wpływać na kształt świata. (...) Polska jest nadal krajem mającym wiele do uporządkowania i naprawienia u siebie, zanim zechce innym doradzać, sugerować, a tym bardziej narzucać właściwe rozwiązania. Obecnie nie ma chętnych, by przyjmować nasze rady i sugestie, a zwłaszcza żądania. Jeden z najuboższych, najgorzej rządzonych, najbardziej skorumpowanych i najbardziej nielubianych przez własnych mieszkańców kraj przyszłej Europy naraża się na śmieszność, usiłując jej dyktować własne rozwiązania. Polityka zagraniczna nie może być zakładnikiem wewnętrznej. (...) Nie możemy więc pochwalać sytuacji, w której liderzy polskich partii politycznych przyjmują antyeuropejską postawę i strategię, by poprawić swoje notowanie w kraju”¹³. Pod jednym względem nasza klasa

¹² Abp J. Życiński, *Polska Rzeczpospolita Kastowa*, „Rz” z 10–11 stycznia 2004 r.; A. Zoll, *Złe prawo – słabe państwo*, „Tygodnik Powszechny” z 25 stycznia 2004 r.

¹³ J.A. Majcherek, *Nader niejasne interesy*, „Rz” z 2 marca 2004 r.

polityczna i jej partyjni liderzy utrzymują od lat wysoki standard. Chodzi o nadmierną pewność siebie, wręcz butę, która zresztą była przyczyną upadku kolejnych koalicji rządzących. Raz przy władzy, natychmiast pycha, monopol na mądrość, niedopuszczanie żadnych wątpliwości czy odmiennego zdania we własnym obozie. Stąd niestabilność i brak wytrwałości programowo-organizacyjnej, dojrzałości refleksji, a w rezultacie ciągłości w polityce, w to miejsce zaś bezkrytyczny koniunkturalizm. Widzieliśmy tę pewność siebie w stosunku do projektu Traktatu Konstytucyjnego UE¹⁴. Znakomity brytyjski historyk Eric Hobsbawm przywołał w swym słynnym *Wiek skrajności* nieznaną u nas sentencję: „Jeśli bogowie chcą kogoś zniszczyć, najpierw czynią go pewnym siebie”. Można odnieść wrażenie, że od pewnego czasu bogowie przestali lubić polską klasę polityczną...

Obecna, już dziewiąta edycja „Rocznika Strategicznego”, ma dwa punkty ciężkości: Europę i wojnę w Iraku. Europie poświęcamy *Forum „Rocznika”*. Udało nam się pozyskać świetnych Autorów do przedstawienia różnych, choć zarazem dopełniających się wizji Europy. Marzeniem wielu byłaby zapewne silna swą cywilizacyjną tożsamością Europa, blisko współpracująca ze Stanami Zjednoczonymi, Europa nie tylko dostatnia materialnie, lecz także bogata swym duchowym dziedzictwem mogącym być źródłem jej witalności. Takie jest wspólne przesłanie tekstów zamieszczonych w *Forum „Rocznika”*. Co się tyczy wydarzeń w Iraku, to wiemy, iż wojna jest surowcem niezbędnym dla rozwoju myśli strategicznej. Dotyczy to nie tylko strategii wojennej, lecz i różnych aspektów strategii państwowej w obliczu zjawiska wojny oraz w kontekście implikacji międzynarodowych, które jej towarzyszą. Poświęcamy temu dossier specjalne „Rocznika” 2003/2004.

Roman Kuźniar, w marcu 2004 r.

¹⁴ Kulminacja przeciągającego się kryzysu politycznego, jaki politycy zafundowali Polsce w najbardziej niefortunnym momencie, była ogłoszona w końcu marca decyzja o dymisji premiera. Niefortunnym, bo w przededniu historycznej chwili wejścia Polski do UE. Pozytywnym efektem ubocznym, mającym także związek z wydarzeniami w Hiszpanii, jest zmiana nastawienia rządu do projektu Traktatu Konstytucyjnego UE.